Weronika Sic

Przechadzając się po ogrodzie, starsza pani rozmyślała. Podziwiała też cudne rabaty. Była tu tyle razy i zawsze miała odczucie, że odkrywa zupełnie nowe światy. Chciała kierować się do oranżerii, gdzie hodowano egzotyczne dla północnego klimatu rośliny, jak: pomarańcze i wawrzyny, morwy i cytryny, a także daktyle, figi oraz brzoskwinie. Lecz jej nogi same powędrowały w kierunku zwierzyńca stykającego się północną granicą z terenami pałacu. Zaiste miała ona nadzieję, że nikogo nie spotka, bo dziś była w wyjątkowo złym humorze. Uwielbiała oglądać w samotności to, co choć trochę mogło ją zachwycić lub zadziwić. Zrobiło jej się zimno, więc zawróciła. Zadrżała, lecz nie z zimna. Roześmiała się i usiadła na ławeczce. Patrzyła na topniejący wokół śnieg i swoje dłonie w purpurowych rękawiczkach. Powoli przypominała sobie wszystkie ważniejsze chwile ze swego życia. Rozmowę
z doktorem Michelisem, który liczył w tamtym momencie jej puls i już jego idea fixe poniosła:

- Niechaj sobie tylko oświecona pani imaginuje, co za skandal wydarzył się onegdaj w klinice przy instytucie - tu zrobił krótką przerwę i zaczął, nabrawszy tchu - Pewna adeptka uczelni, odbywająca praktykę w klinice, w jakowąś pasję popadła i jedną excuses moi (proszę wybaczyć) położnicę zwymyślała okrutnie. Aż obawiałem się wielce, iż denerwacja zaszkodzi młodej matce.

- A co z oną adeptką? - raczyła się zainteresować pani, jako że równie słynęła z cholerytycznego usposobienia.

- Ową? Przepędziłem z punktu - głos doktora Michelisa brzmiał niczym stary, dobry dzwon.

- Tyle ceregieli o jedną niewiastę z plebsu - zauważyła wtedy pani hetmanowa - Zadziwiasz mnie asan. Insza rzecz, gdyby chodziło o delikatną damę...

- Jaśnie oświecona pani hetmanowa - żywo replikował Michelis - zechcijcie mi wierzyć, każda niewiasta wymaga w tymże stanie starunku.

- Być może - przyznała Izabela. - Aliści przecie nie sposób równać plebejkę, nawykłą do niewygód z damą błękitnej krwi..

- Jaśnie oświecona pani hetmanowa ma słuszność - z rewersją skłonił się doktor. - Jako medyk wyznaję się najlepiej na różnicy dzielącej obie te krwie. Co wiosnę wszak puszczam krew jaśnie oświeconym i prostym kmiotom. A jakaż to różnica, zaraz jaśnie oświeconej pani dokumentnie wyłożę. Gdy lancetem naciskam żyłę dostojnika z owej wytryskuje strumień błękitem się opalizujący.

- Sam asan widzisz…

Izabela zaśmiała się z własnych wspomnień.

- Chwileczkę - aliści medyk ciągnął nieubłaganie dalej. - Ośmielę się jeno dodać, że oną błękitność krwi nadaje mym wysoce urodzonym pacjentom, excuses moi, tłuszcz bydlęcy. Owe szynki, udźce wołowe i baranie, kapłony i insze ptactwo, które spożywają dzień w dzień po parę razy dziennie do syta. Tymczasem na wsi omasta jest rzadkim rarytasem. Po postnym barszczu czy żurze krew wieśniacza spływa tylko pospolitą czerwienią. Ot wszystko.

Tu kończąc dykteryjkę, doktor Jakub Feliks Michelis skłonił się raz jeszcze i wyszedł, pozostawiając dostojną pacjentkę w prawdziwym osłupieniu

- Cudaczny wiek, cudaczny wiek - powtórzyła bezradnie.

Pani hetmanowa przypomniała sobie również, jak to zaczęła żywić ogromną niechęć do swej kuzynki Elżbiety z Czartoryskich Lubomirskiej. Bo toż trzeba wiedzieć, że owa dama, największa elegantka w Rzeczypospolitej zachwycała się sukniami krewniaczki, które szył białostocki krawiec - Żyd. Zachwyt pani na Łańcucie był tak wielki, że... kazała potajemnie porwać uzdolnionego krawca i przewieźć go do swej rezydencji. Swoją drogą świadczy to o wysokim poziomie krawiectwa białostockiego, bo mogło zaspokoić gusty damy ubierającej się jedynie w Paryżu i w Wiedniu. Nie pogodziła się z nią do końca życia, bo przecież nie od dziś wiadomo, że kobieta nie tylko o erudycje dbać musi, ale o wygląd również. Pamięta, że przez długie tygodnie żaliła się pokojówkom z wielkiej straty.

Myśląc o tym, Branicka udała się w stronę teatru nazywanego operhausem albo komedialni,ą gdzie na widowni znajdowało się 12 dużych ławek obitych zielonym suknem, 12 lóż na parterze i 15 na piętrze. Scenę, nazywaną teatrum, zasłaniała niegdyś kurtyna wymalowana w mitologiczne sceny. Było to dzieło Sylwestra Mirysa. Lecz po śmierci hetmana sprzedano ją do Anglii. Pani Krakowska wiedziała doskonale, że również orkiestra teatralna miała bogate wyposażenie. Muzycy używali ośmiu sztuk klawicymbałów, klawikordów i szpinetu, dwóch fagotów, oboju, sześciu skrzypiec, dwóch basetli, dwóch altówek, harfy, czterech trąb miedzianych oraz czterech srebrnych i dwóch posrebrzanych kotłów.

- Och! To był teatr - rozmarzyła się starsza pani...

Zawróciła. Bo cóż miała szukać? Myśli jej same skierowały się w stronę sztuki. Uwielbiała artystów nadwornych: Szkota - Sylwestra de Mirysa i Czecha - Antoniego Herliczkę. Pamięta, jak gościła „księcia poetów” - Ignacego Krasickiego i „poetę serca” - Franciszka Karpińskiego. Chętnie i serdecznie rozmawiała z poetką Elżbietą Drużbacką. Pamięta też przyjaciela Krasickiego, stałego rezydenta pułkownika Wojciecha Toporczyka -

Jakubowskiego, który w wolnych chwilach uprawiał poezję. Słynny on też jest z tłumaczenia bajek Lafontaine' a.

Siedemdziesięcioośmiolatka zaczęła rozpominać gości, których przyjmowała w Wersalu Podlaskim. Sensacją roku 1755 były odwiedziny posła Wielkiej Porty. Po śmierci pierwszego męża zaczął bywać u siostry i król Stanisław August Poniatowski. Pamięta cesarza Józefa II austriackiego podróżującego pod nazwiskiem hrabiego Falckensteina. Najmilej wspomina marzec 1798 roku, kiedy król francuski Ludwik XVIII, podróżujący z kolei pod nazwiskiem hrabiego de Lille, w imieniu syna, księcia Berry, prosi o rękę jej kochanej ciotecznej wnuczki - Anetki Tyszkiewiczówny.

Izabela skręciła w lewo, myśląc o swej matce - mądrej Konstancji z Czartoryskich. Przypomniała, jak rodzicielka przynosząca w poślubny poranek córce tradycyjną polewkę winną, zapewniała, że z czasem owszem i w tym stadle małżeńskim przyjdzie konsulacja. Konsulacja? Kiedy? - mślała wtedy młoda hetmanowa. Wspomnienia starego hetmana zblakły, a rozbłysły te o jenerale Andrzeju Mokronowskiem - najpiękniejszym mężu Rzeczypospolitej. Pamięta, jak wzdychała, nalepiając muszkę z angielskiej kitajki w kąciku warg, co w sekretnej mowie miłości znaczy kochaj mnie, a pektoralik, przypięty u stanika, samo „Tak” wydzwaniał. A może to bił inny pektoralik sercem ludzkim zwany?

Rozmarzyła się we wspomnieniach. W samej sławie rycerza i uwodziciela zakochać by się mogła młodziutka hetmanowa. Nawet gdyby nie posiadał takich pięknych oczu wykrojonych w słodki migdał - a je miał. Zemdleć Pani Krakowska gotowa na wspomnienie najmilszej rozmowy z czerwca 1751 roku.

- Madame - zaczął jenerał Mokronoski pełniący służbę przed sypialnią hetmanowej. - Ulubioną barwą królowej Marii Leczyńskiej są szkarłaty i fiolety. Nosi je najjaśniejsza pani z nieporównanym szarmem. Różowe i błękitne krynoliny markizy de Pompadour gasną przy niej jak woskowa świeca przy słońcu. Madame, zapewniam, iż po królowej francuskiej szkarłaty godnie reprezentuje jedna jedyna niewiasta. Jest nią ... jaśnie oświecona hetmanowa z Poniatowskich Branicka.

Nie sposób opisać rumieniec, który tamtego czasu krasił liczko pani Izabeli. Podniosła ciemne oczy - jakże podobne w tamtej chwili do źrenic młodszego brata Stasieczka. Jeszcze moment i padną słowa, których nigdy nie uczyła bardzo mądra mama Konstancja z Czartoryskich.

- Czy waszmość, jenerale, nie poślubiłeś jejmościanki Teresy z powodu niewygasłego uczucia ku pani Mokronoskiej?

- Nie, madame. Pani Mokronowskiej nie masz na tym padole ziemskich. Moja świętej pamięci matka Bronisława spoczywa w mogile. Moi bratankowie pozostają w wolnym stanie. Signora Castelli, do której słabość młodzieńczym wiekiem należy tłumaczyć, nie ma nic wspólnego z nazwiskiem Mokronoskich.

-Tedy? - niczym sfinks polityki szepczę dalej…

- Madame, jest Ci jedna, którą z całej duszy radbym nazywać panią Mokronoską, ale znajduje się w małżeńskiej niewoli.

- Wolnoż wiedzieć kto zacz? - wionęła pytanie najcichszym szeptem. Szeptem, który słyszą tylko zakochani i świerszcz za piecem.

Najpiękniejszy mąż pochyla nisko najpiękniejszą głowę i bez słów całuje białe dłonie. Pektoralik, złotą agrafą przyszpilony u stanika pani hetmanowej, zapomniał o tik i samo tak wydzwania. A może to nie pektoralik, tylko serce? Ach, co to były za cudowne chwile…

Starsza pani przywołała teraz do pamięci niezwykłego figla zrobionemu księdzu Orłowskiemu - nader wścibskiej osobie, należącej do rady sprawującej po śmierci hetmana opiekę nad wdową. Obowiązki swe spełniał tak natrętnie, że zanudzał hetmanową aż do zaziewania. Miarka wścibstwa przebrała się w Stołowaczu. W parę lat po sekretnym ślubie małżonkowie zjawili się w Stołowaczu. Pani Krakowska pragnęła sprawdzić stan majątku, gospodarowanego systemem pruskim. Ale nim małżeństwo zdołało odbyć pierwszą promenadę w parku, w czułym tete a tete, już nadszedł pijar Orłowski. Wtedy pan Andrzej powziął pewien plan, wtajemniczając w niego Michasia - młodego starościaka brańskiego. Młodzik do figlów zawsze skory posłał do pobliskiej Strabli po zaufanego forysia i ... skórę niedźwiedzią. A gdy akcesoria znalazły się w Stołowaczu, zaproszono na polowanie księdza Orłowskiego. Scenerię wyreżyserowano doskonale. Pani Krakowska stanęła w drzwiach opuszczonej kuźni, a powozy ze służbą odjechały. Wówczas na ścieżynie od boru pojawił się niedźwiedź. Ksiądz Orłowski zamierzył się ze strzelbą, ta nie wypaliła. Wtedy z wrzaskiem zaczął uciekać pośpiesznie, aż migały sandały. Ale niedźwiedź - foryś młodsze miał nogi. Dogonił ofiarę. Księżulo padł plackiem na murawie, polecając głośno ducha Bogu. Tymczasem sroga leśna bestia usiadła na grzbiecie pijara i zagadała nabożnie:

- Niech będzie pochwalony...

Następnego ranka ksiądz Orłowski udał dyplomatyczną chorobę i jak niepyszny wyniósł się do Warszawy.

Zaśmiała się na to wspomnienie staruszka, lecz po chwili jej serce napełnij żal. Ogromna pustka znów zagościła w sercu, tak jak 14 czerwca 1784 roku, kiedy zmarł w Warszawie jej

ukochany, drugi mąż. Jedyny afekt jej życia - najpiękniejszy mąż Rzeczypospolitej. Zapłakała teraz z cicha i zatęskniła za nim najmocniej w świecie.

Wszedłszy do swoich apartamentów Pani Krakowska rzekła do arcynudnej, ale zawsze wiernej bratanicy Konstancji:

- Pora mi isć do mego Andrzeja...

W całym pałacu zawrzało. Doktor Michelis pozostawił swoje pacjentki i adeptki w klinice, co tchu przybiegając do sędziwej pani. Powiadomiona Anetka porzuciła wąsy Wąsowicza i wista z wielkim Korsykaninem. Razem z matką Konstancją, doktorem Michelisem i kilkoma ulubionymi pannami nie opuszczała sypialni hetmanowej.

Sędziwa Izabela Branicka spoczęła cicho na wielkim łożu, przystrojonym wachlarzami strusich piór, w alkowie, co bywała niemym świadkiem miłosnych uniesień. Gdy wokoło panował płacz i smutek - ona przeciwnie, tchnęła pogodą. Raz tylko zmarszczyła brew. Stało się to wówczas, gdy szlochająca Anetka w zapomnieniu otarła nosek w paluszki.

- Jakież nieznośne maniery nabyła na dworze radcy- użaliła się konająca i sztywniejącymi już palcy wskazała Anetce własną brabancką koronką obszytą chusteczkę. - Weź moją chusteczkę, kochanie...

W klepsydrach cicho, cichuteńko przesuwał się piasek. Ogień powoli wygasał na kominku. Gdy ulubienica Helenka podrzucić chciała kilka szczapek, Pani Krakowska wstrzymała ją ruchem dłoni.

- Nie, niechaj zakończy się razem ze mną

Była noc. Lutowe gwiazdy błyszczały nad Wersalem Podlaskim. O nie to właśnie ostatkiem sił pytała sędziwa pani.

- Azali ciągle świecą nad Atlasem dźwigającym kulę ziemską? Azali w blasku ich wyraźnie widać bramę wjazdową?

Po otrzymaniu odpowiedzi odwracała wzrok ku szkarłatnej robie, którą starannie rozłożyły Ameli Sassompierre i Helenka Paszkowska. Znać widziała się już w nią ustrojoną, godnie i z gracją sunącą gwiaździstym szlakiem tam, gdzie czekał Andrzej.